

Rozłamane „Wesele”

Arcydramat. Mistrzowska, obrośła w plotkę i legendę wiwisekcja polskiej świadomości i podświadomości, naszych porywów i fobii, naszej wielkości i śmieszności – nie tylko koło 1900 roku. Ta *taka sobie sztuka kostiumowo-ludowa, przyjęcie tego z wódką i samowarem* – w opinii Józefa Kotarbińskiego, ówczesnego dyrektora teatru im. Słowackiego, który ją wystawił – wedle prognozy tegoż miała pójść... może parę razy.

Wesele to tradycja miasta pod Walem. Pewnie dlatego do reżyserowania zaproszono krakowianina, Krzysztofa Nazara, a na premierę zjechało

mnóstwo osób z arcyteatralnego grodu.

Czas opowiedzieć o „Weselu” wystawionym w stołecznym Powszechnym. Było olśniewająco prawdziwe w swojej warstwie realistycznej i opisowej, tracącej ów blask tam, gdzie wdawały się w narodową sprawę widma i zjawy. Obecne niecodziennym obyczajem od początku na scenie – zabudowanej przez Krzysztofa Tyszkiewicza szeregiem pomysłowych drzwi prowadzących do izb weselnego dworku. Było zjadliwym, wspaniale grany, choć nieco monotematycznym (głównie antyalkoholowym) pamfletem na nasze wady

i małości, bliskim grotesce Gombrowicza. Okazywało się natomiast koncepcyjnie bezradne wobec niewątpliwego zamiaru Autora, jakim było wstrząsnąć sumieniami Polaków. Było cudownie nam prezentowaną serią epizodów, w których świetni aktorzy: Szczepkowska, Żółkowska, Trafankowska, Gajos, Pleczka i bardzo sugestywna była Katarzyna Herman (panna młoda) dawali z siebie wszystko – a nawet jeszcze więcej (fenomenalna kreacja Nosa). I było niepokojącym, wartym głębszej refleksji świadectwem tego, jak współczesny, utalentowany skądinąd reżyser, podchodzący z całym, *krakow-*

skim rzekłoby się, pietyzmem do tekstu, zostaje jego wewnętrznym bogactwem wręcz sparaliżowany...

To długie, najdłuższe chyba w wojennych dziejach „Wesele” ostatecznie po trzech godzinach zużyto. A kiedy dobiegła końca czwarta godzina nie zrobiła wrażenia nawet nieobecność chocholego tańca w poświęconym tradycją finale.

Było to więc „Wesele” zrazu porywające na etapie *chaty rozśpiewanej*, a wraz z rozwojem akcji mocno powierchowne. Nie umiemy dać odpowiedzi na pytania, po co w ogóle ten Wyspiański *powсадzał* do swego obrazka z życia sfer niższych i wyższych dziwne monstra fantastyczne, nazwane na domiar zastanawiająco: *osobami dramatu*.

U Nazara Chochoł, który powinien zjawy: Stańczyka, Hetmana, Rycerzy, Upiara Szeli, Wernyhory czy Widma pańskiego kochanka wiejskiej dziewczyny sprowadzić do weselnej izby, żeby pokazywać je następnie poszczególne postaciom realnym, jest lino-skoczkiem przyodzianym we włochatą skórę. Jest stworem samoistnej zresztą

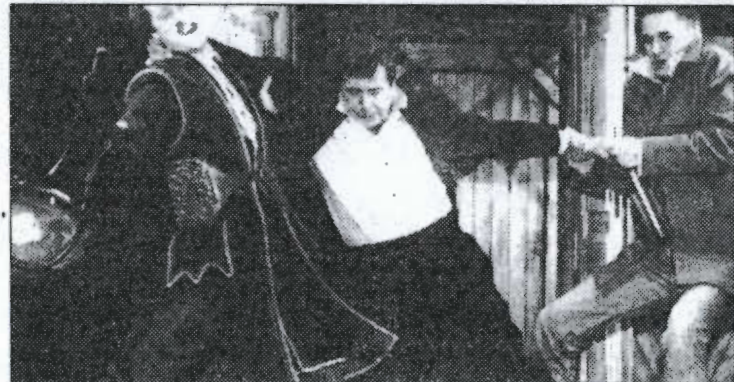
i niepokojącej urody, jednak funkcjonującym tylko na zasadzie ozdobnego przerywnika.

To samo można powiedzieć o reszcie zjaw, które – zamiast być wyrzutem sumienia, kompromitować daleki żyjących – same są zbyt pośpiesznie i zbyt łatwo kompromitowane przez reżysera, żeby były w stanie przekonać nas o celowości wprowadzenia ich na scenę.

Zjawy wyraźnie przeszkadzają Nazarowi, który wyżywa się w budowaniu bujnego realistycznego planu dramatu, obcinając w ten sposób Wyspiańskiego do połowy. To „Wesele” jest i piękne (za sprawą aktorów), i zarazem rozłamane wewnętrznie – co żadną miarą nie winno się okazać argumentem przeciwko jego wystawieniu.

BARBARA KAZIMIERCZYK

Stanisław Wyspiański, „Wesele”, reż. Krzysztof Nazar, scenogr. Krzysztof Tyszkiewicz, muz. Joanna Wnuk-Nazarowa, Teatr Powszechny Warszawa 1995/96.



Janusz Gajos (w środku) jako Nos w „Weselu” w Teatrze Powszechnym w Warszawie.
Fot. PAPI/CAF-Andrzej Rybczyński